

PAMIĘTAJ(IE O OGRODACH

XI WIOSENNY FESTIWAL
ARTYSTÓW PIOSENKI

Nowy Sącz 2015

ORGANIZATOR:



instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego

SOKÓŁ
Małopolskie Centrum Kultury

Małopolskie Centrum Kultury SOKÓŁ
ul. Długosza 3, 33-300 Nowy Sącz
www.mcksokol.pl
e-mail: kontakt@mcksokol.pl

Festiwal zrealizowano przy wsparciu finansowym Samorządu Województwa Małopolskiego.

SPONSORZY:



PATRONAT MEDIALNY:



SKOJARZENIA ODLEGLE I BLISKIE

Nowosądeckie ogrody znów z nadejściem wiosny rozkwitają. Po raz jedenasty... Jedenasty już festiwal „Pamiętajcie o ogrodach” przyniósł mi skojarzenie w czasie odległe, a zarazem jakże bliskie. Był marzec 1974 roku, odbywał się XI Ogólnopolski Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich, którego biuletyn miałem okazję po raz pierwszy współtworzyć. Edek Lutczyn, genialny grafik, nasze pisane na maszynie kartki od razu ubarwiał czarnobiałymi, zabawnymi rysunkami, potem całość (oczywiście, gdy cenzor zaakceptował) trafiała na powielacz. Wtedy o tak wymuskanych edytorsko folderach, jak ten, który trzymają Państwo w ręce, ani nam się śniło. Przypominam sobie ówczesnych laureatów... „W moim wieku, kiedy człowiekowi coś się przypomni – trzeba z tego natychmiast skorzystać” – radzi przytomnie Andrzej Poniedziałki (wszak młodszy ode mnie), zatem korzystam, zwłaszcza, że jest kogo wspominać. Byli to bowiem krakowski Kabaret Pod Budą – z Anną Treter i Bohdanem Smoleniem, Krzysztof Piasecki (wtedy jeszcze z Wrocławia) oraz Elżbieta Wojnowska jako wspaniała interpretatorka i Henryk Alber jako kompozytor pięknej piosenki „Zaproście mnie do stołu”, do wiersza Włodzimierza Szymanowicza. A swoją drogą Ela jeszcze w nowosądeckich „Ogrodach” nie gościła; zapraszajcie czym prędzej, niech porazi słuchaczy, jak dwa lata temu w Opolu wierszem Osieckiej „Sztuczny miód” – tak przejmująco śpiewanym, z taką ekspresją, z taką artystyczną prawdą. Niech zaśpiewa i „Życie moje” Bursy. Takich artystów nagradzano niegdyś w Opolu, bo i tam Ela z tą prośbą o zaproszeniu do stołu dotarła. Bo wówczas z Krakowa jechało się wprost na festiwal opolski. Niegdyśjszy festiwal. Ten, na którym kompetentni jurorzy nagradzali artystów piosenki, zapowiadanych przez eleganckich konferansjerów. To był festiwal przynoszący laury Ewie Demarczyk, Markowi Grechucie, Skaldom, Leszkowi Wójtowiczowi, Edycie Geppert, nagradzającej piosenki Jonasza Kofty, Wojciecha Młynarskiego... Dziś, to już sen złoty. Odkąd Opole potrafiło

najlepszym wokalistą mianować Stachursky`ego, odkąd nastął czas SMS-ów, czyli Sygnału Masowych Sympatii (lub tylko wyobrażeń o nich), nie ma co mieć złudzeń. Odkąd w stolicy polskiej piosenki, z estrady, która służyła corocznemu świętu, Maciej Maleńczuk rzucił do kamer TVP w stronę opolskiej publiczności „Niech wypier....!” – a mówić do mikrofonu, trzymanego przez rzecznika festiwalu p. Orłosa, który nie zareagował! – tamten świat runął.

Wzięło mnie na wspominki, na sentymtalne gorzkie żale i stąd te nawroty do czasu, gdy piosenka była wartością, a zwrot „śpiewać każdy może” tylko ironiczną frazą Kofty. „Ale to już było i nie wróci więcej” – nachalny refrenik krakowskiego barda wyskakuje diablo z pamięci. Z pamięci, która wciąż wyświetla kadry z przeszłości studenckiego festiwalu z Krakowa, bo to on wszak był matecznikiem twórców piosenki, którzy scalali sens słów, piękno melodii z talentem wokalnym. Albo osobowością, która rekompensowała niedostatki warsztatu. To jego laureaci przez wiele lat decydowali o obliczu polskiej piosenki. Wielu z nich już w gościnnym „Sokole” wystąpiło: Renata Przemyk, Raz Dwa Trzy, Grzegorz Turnau, Andrzej Sikorowski, Janusz Radek, Andrzej Poniedziałki...

I oto jeden z nich powraca – Grzegorz Turnau, który brawurowo wygrał ten festiwal w 1984, jako niespełna 17 latek, by szybko stać się, za sprawą swego talentu, jak i piwnicznego uniwersytetu, pod rządami rektora Piotra Skrzyneckiego, jednym z najbardziej twórczych artystów polskiej estrady. A i teatru, któremu ofiarował jakże wiele muzyki. A powraca Turnau z mistrzem gitary, Jackiem Królikiem, którego niegdyś jako akompaniatora także dostrzegli jurorzy krakowskiego festiwalu. Od jakichś dziesięciu lat proponują wspólnie „Wieczór sowich piosenek”, zrodzony przez pomyłkę banalną literówkę na plakacie – ktoś przestawił literki, ktoś inny nie dostrzegł błędu. Bo przecież Grzegorz Turnau zapraszał na wieczór SWOICH piosenek. A tak są sobie i już nie tylko jego, choć to swymi wzbil się do tak wspaniałej kariery, opowiadając, że „naprawdę nie dzieje się

nic”, stawiając Bracką i „Cichoszę”, uprawiając muzyką poezję. Teraz tamte piosenki splata z przebojami niegdysiejszych swych i swego rówieśnika, wybitnego gitarzysty, idoli, jak: Beatlesi, Queen, Steely Dan, Billy Joel. Oczywiście, dodaje i tych, którzy byli dla niego mistrzami na tyle ważnymi, by poświęcić im płyty – Marka Grechutę oraz tandem Jerzy Wasowski – Jeremi Przybora... I tak Turnau z Królikiem, jak drzewiej Starsi Panowie, dialogują z sobą i słuchaczami. A czynią to ze smakiem, inteligentnie, z dawką stosownego humoru, i dystansu – do siebie, do świata. To wieczory pozbawione ścisłego scenariusza, zatem jesteśmy świadkami tego jednego, jedyne. I jest jak w piosence, po raz drugi „to się nie zdarzy”.

W rok po błyskotliwym debiucie Turnau, urodziła się Mela Koteluk. Wyrosła zatem w innym świecie, także muzycznym. A jednak pytana o swych mistrzów mówi: „Zawsze byłam blisko twórczości takich artystów jak: Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski, Jonasz Kofta, Jeremi Przybora czy Marek Grechuta, i wydaje mi się, że to miało wpływ na moją wrażliwość”. I też sama pisze teksty, wyznając, że owe „próby ujęcia sensu w tak małą formę, jaką jest tekst piosenki, to wielka frajda. Wydaje mi się, że nasz język jest wyjątkowy jeśli chodzi o różnorodność, tajemniczość, ilość ostrych zakrętów. Pewnie dlatego nie sposób się nim znudzić”. Tworzy też muzykę. Dostała nagrodę w Konkursie im. Agnieszki Osieckiej i przyznawaną w Toruniu Nagrodę im. Grzegorza Ciechowskiego. Wydała dwie płyty... Młoda, zdolna, twórcza. Zatem słuchajmy, kibicujmy... Obdarzeni peselem, w który wpisana jest przeszłość, pewnie i skorzy będą do porównań.

I tak moje myśli znów wędrują wstecz – do lat, gdy piosenka była nie tylko rozrywką, ale i mówiła o nas. „Sztuczny miód”, czy inne piosenki „okularników” odbijały wszak w jednostkowym losie sytuację pokolenia, wtopionego w szarą gomułkowskiej małej stabilizacji. „Życie moje” czy piosenki bardów były krzykiem niezgody na zakłamaną świat, dowodziły chęci mówienia prawdy, nic to że pomiędzy wierszami prześwietlanymi przez lampę z biurka cenzora. Bo piosenka, jak i inne dziedziny sztuki, chciała być czymś więcej, chciała „dać świadectwo”.

*A jednak po nas coś zostanie
czas zatrzyma na chwilę,
twarz rozluźni spiętą zakłamaniem
i spokój da, gdy niepokoju tyle.
A jednak po nas coś zostanie
coś może jest nowe.*

*A jednak po nas coś zostanie
choćby ta cisza wyrzeźbiona słowem.*

– śpiewała olsztyńska grupa Niebo, kolejny reprezentant tych, co gitarą i piórem chcieli walczyć o lepsze oblicze świata. Tego nad Wisłą. Było, minęło, pewnie bezpowrotnie. 1989 rok przywrócił normalność i w dziedzinie piosenki, przywracając ją rozrywce. Skończył się czas śpiewania na „barykadzie młodości”, by odwołać się do tytułu książki Jana Poprawy, opisującej niegdysiejsze zjawisko. Piosenki znów mogą być o miłości, najlepiej szczęśliwej. Tyle że miłość bywa i banalna, byle jaka, przydrożna, szybko i z zyskiem konsumowana. Ot, uczuciowa konfekcja, rzucana do sieciówek codzienności. Albo na opolską estradę. Nie ma rady. Taka jest cena umasowienia gustu, któremu wzorce odciska walec TVP. I bynajmniej nie TVP Kultura.

Na szczęście jest teatr. Bo teatr coraz częściej przygarnia piosenki, wszak z poezji one wyszły. I tym dwóm światom blisko do siebie.

*Słowa jak sztuczny miód,
ersatz, cholera, nie życie,
miał być raj, miał być cud
i ćwiartka na popicie*

– te słowa Osieckiej mogłyby śpiewać bohaterki spektaklu Iwony Kempy, jednej z tych reżyserek, która nie pędzi za modą, za postmodernistyczną papką, bo wie, że teatr aktorem stoi, i opowieścią, w której gęsto od emocji. Cieszę się, bo oto po raz pierwszy w takim wymiarze w nowosądeckich „ogrodach” pojawi się spektakl teatralny. Fakt, z piosenkami, ale one tylko dopełniają a rebours

opowieść, a ściślej opowieści, skrywające tytułowe „Cztery sposoby na życie i jeden na śmierć”. Nie, nie jest to spektakl muzyczny, mimo kilku przebojów. Ale koncert to na pewno – gry aktorskiej. Nie bez powodu kapituła pod przewodnictwem teatrologa, prof. Jacka Popiela, przyznała mu Nagrodę Teatralną im. Stanisława Wyspiańskiego za rok 2012, doceniając w tej premierze Teatru im. J. Słowackiego „znakomite kreacje aktorskie i koncertową zespołową grę”. Solistkami są: Bożena Adamek, Dominika Bednarczyk, Anna Tomaszewska, Dorota Godzic i Marta Konarska, które pod batutą mistrzyni psychologicznej prawdy Iwony Kempy bawią, wzruszają, budząc chwilami pytania odsuwane w naszym codziennym zabieganiu.

Miło, że w nowosądeckim „ogrodzie” jest i miejsce na teatr. To tylko zwiększa szanse tych wiosennych spotkań na trwanie, niechby do 50. edycji. Czego, rzecz jasna, życzę. Z nadzieją, że piosenka artystyczna, nawet jeśli będzie już mocno odmienna od tej, jaką tworzył Kofta, jaką zapamiętałem z lat dawnych, przetrwa kolejne cztery dekady. Gorzej ze mną, w tej kwestii niestety, nie mam złudzeń. Rachunki są bezwzględne jak urząd skarbowy. Na służbę zdrowia tym bardziej nie ma co liczyć, bo jakby nawet światowa medycyna poczyniła cuda, powtórzyć ich w Polsce i tak się nie uda. (Wiem, że wyszedł mi rym, i dobrze mi z tym. Jesteśmy w świecie piosenki, a tam rym jest wręcz wskazany).

Pamiętajcie o ogrodach,
Czy tak trudno być poetą...
WACŁAW KRUPIŃSKI



20 MARCA (PIĄTEK) // GODZ. 19.00

WIECZÓR SOWICH PIOSENEK GRZEGORZ TURNAU & JACEK KRÓLIK

Grzegorz TURNAU – śpiew, fortepian

Jacek KRÓLIK – gitara

W programie, poza utworami z repertuaru Grzegorza Turnaua, piosenki m.in. Billy'ego Joela, Marka Grechuty, Johna Lennona i Starszych Panów.

Ćwierć wieku na scenie, bez kontrowersji, bez skandalu, bez nieudanej płyty – pasmo sukcesów.

– Moim zdaniem szereg nieudanych płyt, właściwie większość. Nieudanych w tym sensie – nie chcę teraz uchodzić za mistrza samokrytyki – że jest wśród tego, co się nagrało, bardzo dużo rzeczy, do których bym nie chciał wracać, których się trochę wstydzę. To 25-lecie też jest na wyrost. W 1984 r. miałem niecałe 17 lat. To nie jest wiek, o którym można mówić, że jest wiekiem startu jakiejś świadomej działalności.

Jest wiekiem startu – wygrałeś Festiwal Piosenki Studenckiej.

– Ale jak sam wiesz doskonale, zupełnie przypadkiem – tylko i wyłącznie dzięki marynarce, którą od Ciebie pożyczyłem i która przynosiła szczęście. Ty – bez niej – oblałeś maturę.

Wypożyczenie przed maturą cudownej marynarki było lekkomyślne. Wydaje mi się jednak, że wygranie Festiwalu Piosenki Studenckiej, który wtedy miał niemałą renomę, musimy uznać za początek wielkiej kariery, świadomej.

– Dziś, po raz pierwszy być może, powiem to, czego nigdy nie powiedziałem wprost. Byłem wtedy pod tak wielkim wpływem i tak skoncentrowany na postaci Marka Grechuty, że wymyśliłem sobie, iż ja chcę być po

prostu taki jak on, chcę zrobić wszystko tak, jak on zrobił, i chcę wejść w ten świat, który już dzięki niemu gdzieś tam był dostępny. Byłem przykładem człowieka absolutnie nieoryginalnego i niesamodzielnego. Tak siebie widzę z tamtego okresu.

Pamiętam doskonale taki moment, kiedy stwierdziłem, że mój cel życiowy się ziszczył: zobaczyłem, że Grechuta siedzi w jury festiwalu, o którym wspominałeś, i – wyraźnie zadowolony – klaszcze. Uznałem, że właściwie na tym skończyła się moja biografia artystyczna. Ja chciałem się podobać Grechucie. Kiedyś – bardzo proszę o dostrzeżenie tutaj „zachowania proporcji”, to porównanie jest dosyć zabawne – usłyszałem wypowiedź Czesława Miłosza na temat tego, jak pisali młodzi poeci w czasach, kiedy on sam zaczynał: „Pisaliśmy nie tak, żeby się podobać kolegom, tylko tak, żeby się podobać Mickiewiczowi”. Ja się chciałem „podoać Mickiewiczowi”. I ponieważ uznałem, że się mu już podobam, to właściwie było mi obojętne, co będzie dalej. Mówię zupełnie serio.

Jak Ci się udało uniknąć nieprzychylności? Jesteś człowiekiem bardzo dobrze traktowanym przez publiczność. Wszyscy Cię lubią, a to, co śpiewasz, nie przestało być modne. To jest bardzo dziwne. – I podejrzanе. Ale jest w tym trochę nieprawdy. Jakbyś dobrze poszukał, to znalazłbyś na pewno ludzi, którzy uważają to, co robisz, za protezę, komercyjny produkt zastępujący autentyczny nurt „śpiewanej poezji bardów”. Spotykałem się z takim zarzutem. Na łamach pisma, dla którego prowadzimy tę rozmowę, zdenerwował się kiedyś Jacek Podsiadło na czyjąś sugestię, jakobym był poetą. „Kim jak kim, ale poetą to na pewno Turnau nie jest”, czy jakoś tak się wyraził. Wziąłem to serio, ponieważ się z nim zgadzam. Nie uważam się ani za poetę, ani za kompozytora. Uważam się za piosenkarza. Oddaję się też innym pokrewnym dziedzinom, takim jak prowadzenie samochodu, komponowanie dla teatru czy filmu. Nie uważam tego, co robię, za sztukę w jakikolwiek sposób zasługującą na wyróżnienie, spośród dziesiątków innych autorów. To, że towarzyszy mi sympatia czy afirmacja, może niestety świadczyć o krótkotrwałości. Mogę się okazać takim Bałuckim piosenki, i po prostu pewnego dnia pójdę i strzelę sobie w łeb na Błoniach, bo będę wówczas uważany za zupełnie nieznośnego. Ale na razie jestem Bałuckim krakowskiej piosenki z czasu „Grubych ryb”.

Zawsze robiłeś na mnie wrażenie człowieka bardzo uporządkowanego, pewnego tego, co robi, mającego bardzo klarowną wizję dotyczącą swojej twórczości, zwykłej i niezwykłej przyszłości. Czy

był jakiś moment zawahania, czy na tym kryształe jest jakaś szczerba? Czy był taki moment, że miałeś ochotę tym rzucić, zmienić zawód...

- Zniknąć? Zdjąć sutannę? Przestać być „tym panem”? Sto tysięcy razy.

A jak ważny jest tekst? W jaki sposób go sobie dobierasz?

- 90 procent tego, co zostało wykonane czy nagrane, a co jest opatrzone moją muzyką, to utwory, które najpierw miały tekst. W muzyce popularnej przywiązano się do innej kolejności. Najczęściej stwarza się ładną, potencjalnie przebojową melodię, a potem się myśli, o czym ona jest. I taka metoda pracy też oczywiście daje często niezwykle efekty, może być bardzo owocna (np. „Yesterday”). Ale ja – i to jest może jakieś moje kalektwo – miałem zawsze problemy z pisaniem muzyki, która mogłaby pozostać bez tekstu. Zawsze wychodziłem od słowa.

O ile wiem, w dostępnym naszej pamięci okresie twórczości piosenkarskiej, ale takiej, o której chcemy rozmawiać, a nie takiej, o której chcemy zapomnieć, jest wielu, którzy tak też pracowali. Na przykład – przepraszam, że tak od razu z górnej półki – Jerzy Wasowski, który z panem Jeremim Przyborą napisał w ten sposób dziesiątki piosenek. Wojciech Młynarski. Nie wyobrażam też sobie, żeby Zygmunt Konieczny szukał słów do melodii, która później stała się „Karuzelą z Madonnami”.

Dziś jest niejaki Czesław Śpiewa, szalenie sympatyczny polsko-duński akordeonista, kabareciarz, objawienie ostatniego sezonu – i tu znów mamy do czynienia z muzyką pisaną do tekstów, tym razem tekstów tworzonych przez internautów i składanych jak kolaż, jak jakaś układanka z pomysłów anonimowych przechodniów.

Robiłeś takie doświadczenia?

- Nie.

Śpiewałeś teksty, których nie chciałeś śpiewać?

- Bywałem proszony o zaśpiewanie czegoś, co okazywało się trudne do przełknięcia, a trzeba było przełknąć. Zwłaszcza w Piwnicy. I było gorzko. Ale to były rzadkie przypadki i nie zamierzam narzekać na swój los. Natomiast jeżeli sam się za coś brałem, to pierwszym kryterium wyboru tekstu był zachwyt, poczucie harmonii lub też dramatycznej dysharmonii, czegoś, co powodowało, że chciałem taki wiersz zabrać ze sobą. Jak mówi Jacek Woźniakowski: „jedynym kryterium oceny wartości dzieła sztuki jest to, czy chciałbym je ukraść.”

Możesz wymienić jakieś Twoje zachwyty?

- Największe zachwyty dotyczą wierszy, których później nie chciałem zamieniać w piosenki, bo uważałem je za doskonałe.

Wierszowi może zaszkodzić melodia?

- Jeżeli się stanie popularna, to może mu odebrać jego intymną legendę, jakąś jego osobność, ukraść coś ważnego ludziom, którzy ten wiersz przeżywali wcześniej.

Czy spotkałeś sytuację teoretyczną, że do genialnego wiersza napisano genialną muzykę, że ona daje wszystko jemu, a on wszystko jej...?

- I już nigdy ten wiersz bez tej muzyki w tle nie będzie istniał, i odwrotnie – już nigdy nikt nie będzie mógł dopisać innej muzyki do tego wiersza?

Tak.

- Przychodzą mi do głowy dwie piosenki: „Ocalić od zapomnienia” do wiersza Gałczyńskiego, kompozycja Marka Grechuty, i „Tomaszów” (czyli „Przy okrągłym stole”, tak to się chyba nazywa?), napisany przez Zygmunta Koniecznego do wiersza Tuwima. Jest ich dużo więcej, ale te dwie wymieniam od razu, bez zastanowienia.

A wracając do zachwyty, coraz trudniej mi się je przywołuje. Mam utrudniony zachwyty codzienny, rzadziej się zachwycam tak bardzo, żeby się ekscytować tym, co czytam, czy tym, co widzę. Jest jednak taki wiersz Roberta Frosta, powszechnie znany i cytowany, o pociągającej nicości, o marzeniu o przejściu na drugą stronę i jednoczesnej świadomości, że ma się jeszcze coś do zrobienia tutaj. To jest wiersz, który się nazywa: „Przystając pod lasem w śnieżny wieczór”.

Poznałem ten wiersz dzięki książce Stanisława Barańczaka „Ocalone w tłumaczeniu” i był to chyba jedyny wiersz w życiu, jaki czytałem dziesiątki razy (w kilku tłumaczeniach i w oryginale) i za każdym razem doprowadzał mnie do płaczu. Nie takiego prostego, ze smutku, tylko z podziwu. Podziwu dla lekkości, z jaką mówi się o mrocznej żądzy. Przy okazji Barańczak daje w swojej książce wykład na temat możliwości przekładu wiersza, szalenie prostego zewnętrznego i szalenie trudnego do spolszczenia.

Muzyka...

– Nigdy nie byłem tzw. melomanem, jakimś pilnym uczestnikiem wydarzeń filharmonicznych w Krakowie, i nie będę udawał człowieka, który się na tym wszystkim bardzo zna. Słuch mam nie najgorszy, jestem amatorem. Dla mnie najładniejsza muzyka to jest fisharmonia w małym, prowincjonalnym kościółku, która rzewnie gra jakiś temacik do Mszy albo kołędę. Nigdy nie miałem potrzeby uczestniczenia w festiwalach muzycznych, w jakichś wielkich formach. Choć setki razy współpracowałem z orkiestrami, wybitnymi dyrygentami... Pod tym względem jestem filistrem.

Jeździłeś na wielkie koncerty...

– To wiązało się ze wspomnieniem okresu dojrzewania. Jeżeli w wieku licealnym masz mocne wstrząsy związane z jakąś piosenką czy z jakimś brzmieniem, to nie chodzi o muzykę, tylko o nadzieje erotyczne. To był okres odkrywania Beatlesów, których już nie było. To nie ma wiele wspólnego z muzyką, to ma więcej wspólnego z hormonami.

Już jesteś w wieku, w którym hormony przestały wpływać na Twoje wybory estetyczne.

– Zostały zmąstły. Głównie wzrok.

Masz jakiś pomysł na koniec?

– Mogę zacytować klasyka: „chciałbym umrzeć w pozycji wyprostowanej, samotnie, w jakimś schludnym hotelu”.

Stanisław Mancewicz, fragmenty wywiadu

/Tygodnik Powszechny, 23.04.2009/

JACEK KRÓLIK – gitarzysta, muzyk sesyjny i kompozytor. Absolwent Szkoły Muzycznej II st. im. Władysława Żeleńskiego i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Współtworzył takie zespoły jak: Chłopcy z Placu Broni, Lombard, Tilt, Funk de Nite. Współpracował z największymi artystami polskiej sceny muzycznej, m.in. z Justyną Steczkowską, Grzegorzem Ciechowskim, Urszulą, Renatą Przemyk,



foto. archiwum artysty

Edytą Górniak, Janem Kantym Pawлуśkiewiczem, Anną Treter, Krystyną Stańko, Andrzejem Sikorowskim, Mają Sikorowską, Ewą Bem. Od 1997 r. na stałe współpracuje z Grzegorzem Turnauem. Jest współzałożycielem zespołu Brathanki i współautorem największych sukcesów grupy, w której grał do roku 2009. Współpracuje z krakowskim środowiskiem jazzowym, występując między innymi w zespole Krescendo. Wraz z legendarnym gitarzystą Ryszardem Sygitowiczem i Mietkiem Jureckim, od wielu lat tworzy zespół Giganci Gitar. Od roku 2008 prowadzi swój autorski projekt „Królik”, w skład którego wchodzi wybitni krakowscy artyści młodszego pokolenia. Autor muzyki do komedii Juliusza Machulskiego *Ile waży Koń Trojański* oraz współtwórca gitarowego projektu *Rock Loves Chopin II*, w którym grają wybitni polscy instrumentalści Marek Raduli i Ryszard Sygitowicz, Marek Napiórkowski i Damian Kurasz. W swoim dorobku posiada około sto trzydzieści nagranych płyt. Jako jeden z niewielu jest „polską twarzą” kilku najsztywniejszych światowych marek instrumentów i akcesoriów muzycznych: Ernie Ball, Music Man, Randall, T-Rex i VisualSound. Wielokrotnie wyróżniany i nagradzany w plebiscytach branżowych pism muzycznych.

21 MARCA (SOBOTA) // GODZ. 19.00

MELA KOTELUK SPADOCHRON & MIGRACJE

Mela KOTELUK – śpiew

Ola CHLUDEK – chórek

Miłosz WOŚKO – instrumenty klawiszowe

Tomasz KRAWCZYK – gitara, ukulele

Krzysztof ŁOCHOWICZ – gitara

Kornel JASIŃSKI – bas

Robert RASZ – perkusja

To historia jak z filmu: dziewczyna z prowincji wsiada w pociąg i jedzie robić karierę w wielkim mieście. Jak to się kończy? Posłuchajcie sami – „Migracje”, nowa płyta Meli Koteluk jest już w sklepach. *Nie pamiętam, jak to jest mieć na cokolwiek czas* – śpiewa w „Żurawim origami”, piosence promującej płytę. Rzeczywiście – kiedy nie nagrywa, gra koncerty, kiedy nie gra koncertów, przygotowuje się do nich. Mówi, że lubi mieć wszystko pod kontrolą.

NIE DA SIĘ TEGO NAUCZYĆ

– *Mela jest przejęta. To dla niej drugi poród* – śmieje się Ola Chludek, wokalistka i nauczycielka śpiewu w warszawskiej Akademii Rocka. – *A jak Mela jest przejęta, to my też*. Chludek śpiewa i gra w zespole

Meli. Przyjaźnią się i współpracują od lat. – *Przed wydaniem płyty robisz milion rzeczy naraz. Grasz próby, opracowujesz piosenki i jeździsz, jeździsz.*

Prace nad „Migracjami” trwały od miesięcy. W lutym zespół w towarzystwie producenta Marka Dziedzica zaszył się w pracowni Marysi Stokłosy na Mazurach. Pięć kilometrów od szosy, ze stołem sprzętu i paroma pomysłami. – *Pojechaliśmy tam głównie przewietrzyć głowy – mówi Koteluk. – Dużo gramy, ale rzadko zdarza nam się pobyc razem – to jest bardzo rockandrollowy zespół pod względem liczby dzieci i obowiązków domowych.*

– *Kupiła mnie tą barwą – przyznaje Ola Chludek. – Albo się ją ma, albo nie. Nie da się tego nauczyć. Mela może zaśpiewać „Właś kotek na płotek” i już wiesz, z kim masz do czynienia.*

BYŁYŚMY BARDZO GRZECZNE

– *To był 2001 rok. Była wtedy takim małym, niespełna 16-letnim chłopcem. Przyjechała trochę pośpiewać, trochę się poobijać, a tu robota od 10 rano do północy – Andrzej Głowacki ma dobrą pamięć. Wspólnie z Elżbietą Zapendowską szkołą wokalistów od lat. Mela, wtedy jeszcze Malwina, przyjechała spod Zielonej Góry do Nowogardu na prowadzone przez nich warsztaty. – Oczywiście wychodziły z wrażenia, że tyle trzeba robić – mówi Głowacki. – Przybora, Osiecka, Kofta, Młynarski – to była podstawa. Wszystkie nasze kursantki się tego uczyły. Dowiadywały się, że piosenka może mieć tekst, który może o czymś opowiadać, na dodatek, proszę sobie wyobrazić, pięknym językiem. Melka od początku miała piękną barwę.*

– *Wydała się nam osobą dość głupiutką – przyznaje Elżbieta Zapendowska i wybucha śmiechem. – Ale ta jej barwa nas zauroczyła. Taka osóbką z tajemnicą w głosie.*

– *Ela wtedy nie była jeszcze panią z telewizji, tylko panią odpalającą jednego papierosa od drugiego – wspomina Mela. – Powiedziała mi: „Koteluk, stuknij się w łeb, trzeba trochę zmądrzeć”. Byłam strasznie siksą. Nie miałam pojęcia, co się dzieje na świecie. Byłam zielonym groszkiem.*

Na dodatek słuchającym niemodnej muzyki. Dzieciaki z jej pokolenia dorastały na MTV, amerykańskim i brytyjskim rocku. Mela słuchała Trójki i głosowała pocztówkowo. Głównie na



Ciechowskiego. W rodzinie nie było wielkiej muzycznej tradycji. Dziadek grał na akordeonie, ponoć czarował dziewczyny. Ale kiedy mająca właśnie rozpocząć liceum Mela oświadczyła rodzicom, że chce jechać do Warszawy i śpiewać, spróbowali zrozumieć.

– *Nie chcieli robić córce kariery na siłę* – opowiada Zapendowska. – *Rodzice Meli byli inni.*

– *Powiedzieliśmy jej, że jeśli chce śpiewać na poważnie, powinna przyjechać do Warszawy. W tamtym czasie dużo młodych ludzi tu zjeżdżało* – mówi Andrzej Głowacki. – *No i przyjechała, zamieszkała w artystowskiej komunie.*

Komuna była w bloku na Powiślu, dziś imprezowym centrum miasta. Ale ówczesne Powiśle było zupełnie innym miejscem niż dziś. – *Cisza, spokój, emeryci. W PKP zamiast knajpy była kasa* – uśmiecha się Alicja Malinowska, logopeda, współpracująca ze szkołą Zapendowskiej i Głowackiego. – *Prowadziłam u nich warsztaty z wymowy i tam poznałam Malwinę. Rodzice oddali mi ją pod skrzydła, więc zamieszkałyśmy razem. Czy się nią opiekowałam? Jak pan sądzi? To artystyczna dusza, wolna. Bardzo otwarta na ludzi, zaprzyjaźniła się szybko. Szybko też weszła w środowisko muzyków. I wszystkim wydawała się starsza, niż była. Niech pan napisze, że byliśmy bardzo grzeczni.*

Jakiś czas później wyjechała z Warszawy. Przez chwilę pomieszkała w Krakowie, potem pojechała do Londynu. Miała zostać dwa tygodnie, skończyło się na dwóch latach.



- Czwarty dzień mojego pobytu w Londynie – opowiada Mela. – *Weszłam na lemoniadę do baru i tak po prostu zapytałam o pracę – spodobała mi się ekipa. Grek, Szwed i Francuzka. Przyjęli mnie.*

Na Wyspach robiła to, co setki tysięcy jej rówieśników – była kelnerką. Na muzykę nie było czasu. Poza kursem w London Music School, o którym marzyła jeszcze w Polsce. Liczyła, że otrze się o prawdziwy show-biznes, zaśpiewa z lepszymi muzykami.

- *Wiedziałam, na jakim poziomie gra się w Polsce – opowiada. – Wyobrażałam sobie, że ten Londyn będzie jakimś przełomem. Okazało się, że wcale nie. Z drugiej strony, wiedziałam, że jeśli posiedzę jeszcze rok, będzie mi bardzo trudno wrócić. Myślałam: „Osiedlić się tam? A może pojechać do Australii, do Kanady?”. I wtedy pomyślałam: „Kurczę, może wrócę do Polski, złożę zespół i zacznę grać?”. Wróciłam do Warszawy i znów zaczęłam od zera. Tak mam – cyklicznie zaczynam od zera. Uwielbiam podróżować, nie jestem typem stacjonarnym.*

PRZYMUSOWA SYTUACJA

Trzy lata temu wydała „Spadochron” i jej pomalutku dotąd tocząca się kariera nabrała gwałtownego przyspieszenia. Wymarzony debiut – spodobał się mediom i publiczności – płyta od dawna jest platynowa, a Mela została nagrodzona dwoma Fryderykami – nie tylko jako najlepsza debutantka, ale i artysta roku. „Migracje” powinny powtórzyć ten sukces. Tym bardziej że dobry czas w polskim popie raczej nieprędko się skończy, a podział na ambitniejszą muzykę i pudelkowo-dożynkową estradę jest bardzo wyraźny.

- *To jest bardziej off niż mainstream – zauważa Elżbieta Zapendowska.*

W offie wciąż nie ma wielkich pieniędzy, ale jest coraz większa publiczność.

- *Czasem mam tego dość – przyznaje Mela. Czego konkretnie? Tłumaczy mi już w e-mailu, który wysłała gdzieś w drodze z Koszalina do Poznania. – Irytują mnie rzeczy, z którymi muszę się mierzyć na co dzień. Jestem cholerykiem i czasem wybucham. Sama siebie pytam, gdzie tu uciec. Ale ja po prostu uwielbiam pisać piosenki. To jest sytuacja przymusowa. Najchętniej w kuchni.*

Dawid Karpiuk

Fragmety wywiadu, Mela Koteluk: Czasem wybucham
/ Polska Newsweek, 29-11-2014/

SPADOCHRON

tekst: Mela Koteluk

Jestem, jestem kamykiem
Lecącym w twoje okno
Stukotem dziobu ptaka
W rytm alfabetu Morse'a
Niepodlewaną ziemią
Złożoną topografią
Stopami, które boso
Przeszły drogi szmat

A gdybyś mógł dzisiaj zamienić się w spado-
chron
Mogłabym polecieć gdziekolwiek razem z tobą
A gdybyś mógł dzisiaj zamienić się w falochron
Mogłabym być statkiem portem i brzegiem

Mów do mnie mów nieostrożnie
Nie składaj zdań naumyślnie
Pozwól mi wejść w to krążenie
Odżywiać twoje kości

A gdybyś mógł dzisiaj zamienić się w spadochron
Mogłabym polecieć gdziekolwiek razem z tobą
A gdybyś mógł dzisiaj zamienić się w falochron
Mogłabym być statkiem portem i brzegiem

Jestem, jestem kamykiem
Lecącym w twoje okno
Stukotem dziobu ptaka
W rytm alfabetu Morse'a
Niepodlewaną ziemią
Pustym rytuałem

A gdybyś mógł dzisiaj zamienić się w spadochron
Mogłabym polecieć gdziekolwiek razem z tobą
A gdybyś mógł dzisiaj zamienić się w falochron
Mogłabym być statkiem portem i brzegiem

Mela Koteluk z sukcesem wciąga nas w swoją przestrzeń malowaną tekstami i dźwiękami, które znajdziemy na debiutanckim krążku „Spadochron”. 24 maja 2012 r. artystka zaprezentowała swój materiał po raz pierwszy na żywo, w radiowej Trójce, w studiu im. Agnieszki Osieckiej, oczarowując zgromadzoną publiczność swoim muzycznym talentem.

Kim jest Mela Koteluk?

- 8 maja 2012 roku ukazała się moja debiutancka płyta, „Spadochron”. Na album składa się 12 kompozycji, z czego 11 napisanych jest w języku polskim. Dwunasta chciała brzmieć tylko i wyłącznie po angielsku. I jest to utwór, który zamyka całość.

Śpiewałaś w chórkach u Scorpions i Gaby Kulki. Czego nauczyły cię występy u boku innych wykonawców?

- Współpraca z innymi artystami to przede wszystkim muzyczne przygody, bardzo piękne. Ale też muzyczne lekcje i zdobywanie doświadczeń. I myślę sobie, że dzięki tym wydarzeniom i stycznościom tak często gęsto z rozrzutem stylistycznym, mogłam wytrącić pewne założenia wobec tego, co ja chcę robić i jak ma brzmieć moja płyta i co właściwie chcę na niej powiedzieć. W zakresie wspierania głosem innych artystów nigdy nie zaszłam tak daleko, aby móc sama siebie nazywać sidemanem. Natomiast znam wiele doskonałych chórzystek, wielu doskonałych chórzystów, dysponujących ogromnym bagażem doświadczeń, którzy znacznie lepiej odnajdują się w tej roli. Podsumowując - niezależnie od tego czy to jest tak zwany pierwszy plan, czy drugi plan, zawód muzyka i wykonywanie tego zawodu to ciężka praca, zarówno mentalnie, jak i fizycznie. Należy spełniać wiele warunków, by móc go wykonywać. Mieć odpowiedni charakter, wytrzymałość. Skórę hipopotama w połączeniu z wrażliwością motyla.

Naprawdę nazywasz się Mela Koteluk? To jedne z tych personaliów, które zawsze wyglądają jak pseudonim.

- Rodzice dali mi na imię Malwina, natomiast w gronie przyjaciół i rodziny, odkąd pamiętam, funkcjonowałam jako Mela. Na tryb Malwiny przeskakiwano po tym jak coś przeskrobiałam.

Mela Koteluk to jednoosobowy projekt?

- Kto się kryje za: Mela Koteluk? Zespół. Ja niejako użyczam swojego imienia i nazwiska, sytuacji, jaką jest spotkanie z przyjaciółmi muzykami. W zespole gra Tomasz Krawczyk na gitarach, Miłosz Woško na instrumentach klawiszowych, który współprodukował płytę oraz super zgrana sekcja rytmiczna w postaci Kornela Jasińskiego na basie i Roberta Rasza na perkusji. Na płycie chórki zaśpiewała Ola Chludek. I to jest zespół, z którym koncertuję, natomiast w pracy nad płytą wzięli udział również Marcin Gajko, który ją zmiksował, i Leszek Kamiński, który odpowiadał za mastering.

Dobrze ci wyszły teksty po polsku, to rzadkie u debiutantów.

- Bardzo lubię pisać teksty w języku polskim. Te próby ujęcia sensu tak małą formą, jaką jest tekst piosenki to wielka frajda. Wydaje mi się, że nasz język jest wyjątkowy, jeśli chodzi o różnorodność, tajemniczość, ilość ostrych zakrętów. Pewnie dlatego nie sposób się nim znudzić. Myślę też, że ta żywa natura języka to fascynująca sprawa. Sposób, w jaki się nim posługujemy tak wiele mówi o nas samych i jest niejako dowodem osobistym. Natomiast rys poetycki w moich piosenkach... Zawsze byłam blisko twórczości takich artystów jak Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski, Jonasz Kofta, Jeremi Przybora czy Marek Grechuta i wydaje mi się, że to miało wpływ na moją wrażliwość. Natomiast nie pomniejszałabym roli muzyki w stosunku do warstwy literackiej, ponieważ wydaje mi się, że tutaj musi wystąpić to takie wyważenie, to musi ze sobą grać, musi być wymiana.

Dlaczego mówisz, że twoja płyta jest dreampopowa? Dla mnie jest zbyt wyrazista jak na dream pop.

- Dream pop to umowność, nie należy tego wyrażenia interpretować jeden do jednego. To nie jest pop sensu stricte, ani taka senna baśniowość w bezpośrednim rozumieniu. Dream pop to niesterylne podejście do dźwięków, dużo powietrza w muzyce, słodko-gorzkie linie melodyczne i duże przywiązanie do tekstów, często introspektywnych. Mentalnie zawsze blisko było mi do artystów kojarzonych z tym gatunkiem, mam na myśli Cocteau Twins i Dead Can Dance, i myślę sobie, że ta tożsamość „Spadochronu” jest w taki naturalny sposób naznaczona tą bliskością.

Mela Koteluk „SPADOCHRON”

/Miasto Kobiet, 2012/

fot. Honorata Karapuda





22 MARCA (NIEDZIELA) // GODZ. 18.00

PETER ASMUSSEN
ZA CHWILĘ. CZTERY SPOSOBY NA ŻYCIE
I JEDEN NA ŚMIERĆ

MUZYCZNY SPEKTAKL Z TEATRU
IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE

Adaptacja i reżyseria: **Iwona KEMPA**

Przekład: Elżbieta **FRĄCZAK-NOWOTNY**

Scenografia: **Iwona KEMPA, Anna SEKUŁA**

Muzyka i opracowanie muzyczne: **Bartosz CHAJDECKI**

Muzyka: **Dawid RUDNICKI**

Inspicjent: **Iwona CIEŚLIK**

Występują:

Bożena ADAMEK

Dominika BEDNARCZYK

Dorota GODZIC

Marta KONARSKA

Anna TOMASZEWSKA

Dawid RUDNICKI - fortepian

Prawdziwy koncert na pięć kobiet współczesnego mistrza skandynawskich klimatów, najśtywniejszego dramaturgisty duńskiego i współautora scenariusza genialnego filmu *Przełamując fale* w reżyserii Larsa von Triera. Krok po kroku wnikamy w skomplikowane koleje życia bohaterki, których opowieści prowadzą do bulwersującego i niespodziewanego zakończenia.

Bohaterki wchodzą na scenę nieśpiesznym krokiem, śmiejąc się i rozmawiając. Każda z nich ma na sobie elegancką suknię, a także perfekcyjny makijaż i fryzurę. Nie wyglądają jak aktorki, które za chwilę mają zagrać w przedstawieniu. Przypominają raczej pięć przyjaciółek, wybierających się na wspólną kolację.

Luźna atmosfera zachowana jest przez cały spektakl. Przerwywają swoje wypowiedzi, prosząc o lepsze światło, w którym będą wyglądać młodziej, cicho rozmawiają z muzykiem, przygrywającym im na fortepianie. Co więcej, nie krępują się zdjąć butów, a gdy jednej z nich spada broszka, ta przeprasza widownię i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, podnosi ją z ziemi. Dzięki temu widz już po kilku minutach zaczyna czuć więź z bohaterkami, natomiast odległość między widownią a sceną, zaciera się. W tej przyjaznej atmosferze poznajemy historię pięciu kobiet, które jak się okazuje, wcale nie są takie wesołe...

Każda z kobiet ma swoje przysłówkowe „pięć minut”. Po kolei stają z przodu sceny, przed jednym z pięciu mikrofonów i wspominają. Opowiadają o stracie ojca i ukochanego, nowotworze, rozpadzie małżeństwa, śmierci nowonarodzonych dzieci, a także o aborcji. Ich opowieści są wzruszające i dramatyczne, jednak momentami, tak jak życie, bawią do łez. Podczas gdy jedna z nich mówi, stojąc z przodu, cztery pozostałe siedzą za nią na krzesłach i...przeszkadzają, wtrącając złośliwe komentarze. Sprawia to, że coraz bardziej czuję się, jakbym obserwowała spotkanie koleżanek, które dawno się nie widziały i teraz chcą nadgonić stracony czas, rozmawiając o swoich życiowych dramatach. Każda z historii zakończona jest piosenką, która ma stanowić pewnego rodzaju puente do opowiedzianej historii.

„Wy jesteście mocni, silni – my słaba płeć” – tak zaczyna się piosenka *Sex appeal*, którą śpiewają bohaterki na zakończenie sztuki. Jednak postaci kobiece, które wykreowała Iwona Kempa, nie są słabe, a przynajmniej na takie nie wyglądają, ponieważ swoje prawdziwe uczucia ukrywają pod maską. Ich maskami są peruki, piękne suknie i grube warstwy makijażu. Dopiero pod koniec przedstawienia, śpiewając wspomnianą wcześniej piosenkę *Sex appeal*, ściągają peruki i ubrania, pokazując, że uroda, którą większość kobiet tak skrupulatnie pielęgnuje, wcale nie jest najważniejsza. Pod tym wszystkim kryją się takie uczucia jak żal za tym, czego nie zdążyły zrobić, smutek za niespełnionymi marzeniami i tęsknota za straconą miłością.

Pomimo tego, że jest to spektakl o kobietach, w którym grają kobiety (jedyne mężczyzna przygrywa na fortepianie), nie jest on kierowany wyłącznie do przedstawicielek płci pięknej. Mężczyźni są w nim obecni od samego początku, ponieważ pojawiają się w prawie każdej historii. To właśnie oni wpłynęli na życie bohaterek, często będąc bezpośrednim źródłem ich cierpienia. Można nawet powiedzieć, że żadne z tych zdarzeń nie miałyby miejsca, gdyby nie oni.

Aktorki zagrały rewelacyjnie, a Iwonie Kempie udało się stworzyć ciekawy, wzruszający, a jednocześnie przezabawny spektakl. Nic dziwnego, że został on w zeszłym roku nagrodzony nagrodą teatralną im. Stanisława Wyspiańskiego.

Sztuka ta jednak nie tylko bawi czy porusza. Niesie za sobą także proste przesłanie, które dotyczy każdego z nas bez względu na wiek czy płeć. Mówi się, że „życie to nie teatr”, ale czy na pewno? Każdy z nas ma swoją maskę, którą ubiera każdego dnia. Chociaż pod spodem cierpimy, nie pokazujemy tego. Nawet jeśli stanie się coś złego, przecież musimy żyć dalej. Kto wie, może właśnie w tym kryje się siła człowieka...

Dagmara Rolnik

Maski, które przybieramy na co dzień
/www.teatrakcje.pl, 19.03.2014/

SEX APPEAL

tekst: Emanuel Schlechter, Ludwik Starski

Wy jesteście mocni, silni – my słaba płeć.
Lecz my mamy coś, co byście wy chcieli mieć.
Co jest warta wasza siła, wasza pięść i twarda dłoń?
My kobiety choć słabiotkie mamy na was jedną broń!

Sex appeal to nasza broń kobieca.
Sex appeal to coś co was podnieca.
Wdzięk, styl, czar, szyk, tym was zdobywamy w mig.

Jeden znak, a już nie wiecie sami
co i jak, wzdychacie godzinami:
Ech! Uch! Och! Ach! Słychać wciąż po całych dniach.

Jeden uśmiech, jedna minka, już każdy z was
najtwardszy głąz – od razu grzeczny jest,
serdeczny jest dla każdej z nas.

Słaba płeć, a jednak jest mocniejsza.

Słaba płeć, a jednak najsilniejsza.

Wdzięk, szyk, czar, styl, nasza broń to sex appeal!

Perty, futra nie są ważne, bo słaba płeć
zamiast pereł, aut i skarbów wdzięk musi mieć.

Miły uśmiech, zgrabne nóżki, mały nos i ładne brwi,
to ważniejsze niż bogactwa, bo w tym wszystkim właśnie tkwi:

Sex appeal...
...nasza broń to sex appeal!

(...) Spektakl Iwony Kempy jest wstrząsający. Pokazuje nam, kobietom, jak bardzo żałosne, a jednocześnie poruszające jesteśmy w swoich dramatach i jak niewiele między sobą się różnimy w ich intensywnym przeżywaniu. Widzimy też kobiecą niemożność wyrwania się spod uzależnienia względem mężczyzn – żadna z historii na scenie nie mogłaby się zdarzyć, gdyby nie mężczyzna, a jednocześnie to oni nie są tutaj dopuszczani do głosu, nie możemy poznać ich perspektywy. Zamieniają się w marionetki w opowieściach bohaterki – jakby w odwecie za to, że każda z przytoczonych historii to wspomnienie tego, jak to oni, świadomie lub nie, pociągali za sznurki.

Rzecz nie dotyczy się jednak samych relacji. Przede wszystkim to opowieść o maskach, które zakładamy, żeby poradzić sobie z życiem. I o tym, jak zginiemy konwenanse, kiedy nagle te maski z siebie zrzucamy. Cały zespół kobiet pracujący przy spektaklu zostawia nas bez odpowiedzi na pytanie, kto tutaj jest wariatem. Ten, który wypiera i ukrywa niewygodne prawdy grając rolę klauna, czy ten, który sprzeciwia się grze i nosi cierpienie oraz cały bagaż doświadczeń na wierzchu? I czy jest szansa na to, aby odciąć się, uniezależnić i próbować budować szczęście tylko na sobie? Tylko jedna z kobiet na scenie próbowała to zrobić, podejmując traumatyczną decyzję. I okazało się, że jako jedyna sama zafundowała sobie wewnętrzną śmierć. Czy to znaczy, że trzeba się poddać? Oddać swoje życie w ręce kogoś, na kogo będzie można zrzucić ewentualne porażki?

Nie. To znaczy, że ciągle od nowa trzeba szukać sposobu na wszystko to, co zdarzy się za chwilę. W końcu w swoim absorbującym i równie fascynującym u każdej z pań aktorstwie, żadna z bohaterki nie wygrała. A psycholog Kempa po raz kolejny nie osądziła nas, tylko odkryła nasze twarze, kończąc wszystko unosząc się w powietrzu, niemym: „Tacy jesteśmy”.

Aleksandra Sowa

Mężczyźni, którzy pociągają za sznurki – fragmenty
/Teatr dla Was, 3.12.2012/



Spektakl Kempy to istne studium kobiecej psychiki. Aktorki stworzyły sylwetki silne, autentyczne, spotykane przez nas każdego dnia. Widzimy kilka kobiet, zróżnicowanych pod względem wieku, charakteru, preferowanego stylu. Za nim podążają i światła – zmieniają się wraz z wejściem kolejnej bohaterki. Każda z nich przedstawia historię, która była zakrętem na jej drodze. Z każdej bije seksualnej piosecence, której postaci stają przed widzami niemal nagie, pozbawione peruk, brzmi gorzko, niczym próba zachowania resztek godności, rozpaczliwego zachowania atrybutów kobiecości. Jednak wszystkie opowieści o kobietach stają się powiastkami o mężczyznach. Dokładnie: o mężczyznach-rzeźbiarzach, którzy odcisnęli w ich sercach niezatarte piętno, stali się lustrami, w których mogły się przejrzeć; największą próbą, jaką musiały przejść. Ostatecznymi sędziami, decydującymi o ich losie, weryfikacją kobiecości.

Maria Anna Piękoś

Pięć kobiet

Dziennik Teatralny, 08.12.2012

ZAPRASZAMY

OD PONIEDZIAŁKU
DO SOBOTY

W GODZ. 8.00-20.00

W NIEDZIELĘ

W GODZ. 9.00-18.00



Kwiaciarnia
*Helikon*ia

ul. Lwowska 28, 33-300 Nowy Sącz tel. 18 441 36 66



www.bruk-bet.pl



BRUK-BET®



Park M
CENTRUM OGRODNICZE



Park M
ul. Piaski 12
Stary Sącz

www.park-m.pl



Park M Centrum Ogrodnicze to więcej niż market ogrodniczy. To miejsce stworzone z myślą o wszystkich, dla których ogrodnictwo to prawdziwa pasja.



SOKOŁ
Małopolskie Centrum Kultury

SEZON 2014/2015

TRANSPERA

TRANSMISJE
I RETRANSMISJE
OPER I BALETÓW
Z RENOMOWANYCH
EUROPEJSKICH
TEATRÓW I FESTIWALI

FAUST / L'HISTOIRE DE MANON
(HISTORIA MANON) / CARMEN /



**kupując bilet do naszego kina
wspierasz wydarzenia organizowane
przez MCK SOKOŁ**



ORKESTRY
IM. ADY SARI
KATEDRA MUZYKI
KONCERTY



**PAMIĘTAJcie
o OGRODACH**



**XIX NARODOWY
FESTIWAL MUZYCZNY**
Nowy Sącz, 7-13 lipca 2013 r.



**Jubilei
Cantus**





instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego

SOKOŁ
Małopolskie Centrum Kultury

Małopolskie Centrum Kultury SOKOŁ w Nowym Sączu
www.mcksokol.pl

Dyrektor: Antoni Malczak

Zastępca Dyrektora: **Małgorzata Kalarus**

Dyrektor Galerii Sztuki Współczesnej BWA SOKOŁ:

Liliana Olech

Kierownik Sekcji Muzyki i Teatru:

Mirosława Wiktorowska

Kierownik Działu Logistyki: **Andrzej Wańczyk**

Kierownik Działu Marketingu: **Piotr Gryźlak**

Kierownik Działu Finansowo-księgowego:

Teresa Łukasik

Kierownik Pracowni Audiowizualnej:

Maksymilian Zięba

Organizacja/sprzedaż biletów/obsługa widowni:

Dorota Abram, Barbara Gwiżdż, Paweł Hebenstreit,
Katarzyna Kożuch, Helena Marszałek, Agata
Pawłowska, Klaudia Tokarczyk, Dorota Zielińska,
Ludmiła Zielińska

Promocja, marketing i współpraca ze sponsorami:

Elżbieta Pyszczak, Anita Serafin, Lucyna Witkowska

Księgowość: Urszula Chronowska, Joanna Dudzik,

Monika Kafel, Anna Piwowar, Aneta Rembiesz,
Agata Stachoń, Mirosław Turek

Sekretariat: Urszula Zielińska,
Agnieszka Chronowska

Logistyka/obsługa techniczna: Tomasz
Dominik, Dorota Fecko, Andrzej Groń,
Tomasz Janus, Wojciech Klimczak,
Monika Krok, Janusz Kuźma, Wojciech
Pawlik, Sylwester Rosiek, Marta Ruchała,
Irena Ślaga, Elżbieta Talar, Krzysztof
Wolak, Aneta Zięba, Wiesław Żygłowicz

Wolontariusze: Michał Adamek, Łucja
Cebula, Iwona Chruślicka, Ewa Dziedzina,
Katarzyna Fedewicz, Wiktoria Fyda, Ewa
Dziedzina, Aleksandra Gądek, Dominika
Grońska, Dominika Jamrozowicz,
Kamila Legutko, Ania Majerczyk, Julia
Mrozowska, Małgorzata Stelmach,
Dominika Wiktor, Bogdan Zelek

Redakcja folderu:

Mirosława Wiktorowska

Projekt graficzny i skład:

Andrzej Świtniewski KOŁO KWADRATU

Druk: KWADRAT